

O God, I could be bounded in a nutshell and count myself a King of infinite space

Hamlet, II, 2

Mój Boże! Mógłbym się zamknąć w łupinie orzecha
i czuć się królem nieskończonych przestrzeni; (przeł. R. Brandstaetter)

But they will teach us that Eternity is the Standing still of the Present Time, a Nunc-stans (as the Schools call it); which
neither they, nor any else understand, no more than they would a Hic-stans for an Infinite greatness of Place.

Leviathan, IV, 46.

Ale oni będą nas uczyli, że wieczność jest zastygłą chwilą obecną, jest nunc-stans (jak to nazywają scholastycy), czego
nie rozumieją ani oni, ani nikt inny, tak samo, jakby nie rozumieli zwrotu hic-stans, gdyby miał on oznaczać
nieskończoną wielkość przestrzeni. (przeł. Cz. Znamierowski).

Jorge Louis Borges, Alef

Tego rozżarzonego lutowego ranka, kiedy — nie zniżywszy się ani przez chwilę do sentymentalizmu czy też strachu — po królewskiej agonii umarła Beatriz Viterbo, na żelaznych słupach ogłoszeniowych placu Konstytucji znów pojawiły się dawne afisze, reklamujące jakieś tam lekkie papierosy. Fakt ten zabolął mnie, zrozumiałem bowiem, że nieustanny i rozległy wszechświat w tej właśnie chwili zaczął się od niej oddalać i że ta zmiana jest pierwszą z nie kończącej się serii. Świat zmieni się, lecz ja się nie zmienię, pomyślałem z melancholijną próżnością. Moje bezsensowne uwielbienie nieraz doprowadzało ją do rozpacz; teraz, gdy już nie żyła, wolno mi było całkowicie poświęcić się jej pamięci, bez nadziei, ale i bez upokorzenia. Pomyślałem, że 30 kwietnia przypadały urodziny Beatriz; odwiedzenie tego dnia jej ojca oraz ciotecznego brata Cariosa Argentino Daneri wydało mi się aktem kurtuazyjnym, nienagannym, może nawet nieodzownym. Znowu znalazłbym się w półmroku niewielkiego, przeładowanego salonu, znowu studiowałbym detale jej licznych portretów. Beatriz Viterbo na kolorowym zdjęciu z profilu, Beatriz w maseczce w czasie karnawału 1921 roku, Beatriz w dniu pierwszej Komunii, Beatriz w dniu swojego ślubu z Robertem Alessandri, Beatriz niedługo po rozwodzie, na śniadaniu, w Klubie Jeździeckim, Beatriz w Quilmes z Delią San Marco Porcel i Carlosem Argentino, Beatriz z pekińczykiem, ofiarowanym jej przez Villegas Haedo, Beatriz en face, en trois-quarts, uśmiechnięta, z głową opartą na rękę... Nie byłbym zmuszony usprawiedliwiać się, jak dotąd, z mojej obecności za pomocą skromnych podarunków w postaci książek, które w końcu nauczyłem się przecinać, aby nie przekonywać się w parę miesięcy później, że pozostały nietknięte.

Beatriz Viterbo umarła w 1929 roku. Od tego czasu nie pozwoliłem upłynąć ani jednej rocznicy 30 kwietnia, żeby nie odwiedzić jej domu. Zazwyczaj przychodziłem kwadrans po siódmej i zostawałem około dwudziestu pięciu minut. Co rok przychodziłem odrobinę później i zostawałem odrobinę dłużej. W 1933 ułatwiła mi sprawę ulewa — musiano bowiem zatrzymać mnie na wieczór. Jak można się domyślać, nie zmarnowałem tego precedensu; w 1934 zjawiłem się już po ósmej, przynosząc ze sobą słynne andruty z Santa Fé. Z zupełną naturalnością zostałem na kolacji. Tym to sposobem, w czasie tych smutnych, rzekomo erotycznych rocznic powoli stałem się powiernikiem Carlosa Argentino Daneri. Beatriz była wysoka, wątła, odrobinę przygarbiona. W chodzie miała coś (o ile wolno mi użyć oksymoronu) z bezwzględniego wdzięku, z poczynającej się ekstazy. Carlos Argentino jest różowy, tęgawy, ma siwe włosy i delikatne rysy. Zajmuje podrzędne stanowisko w jakiejś nieważnej bibliotece na którymś z południowych przedmieść. Jest autorytatywny, acz nieskuteczny; do niedawna korzystał z każdej okazji, aby wieczorami i w święta nie wychodzić z domu. Poprzez dwa pokolenia przetrwało u niego włoskie „s” i przesadna gestykulacja. Jego działalność umysłowa trwa bez przerwy, równocześnie pełna pasji, przewrotna i pozbawiona jakiejkolwiek wagi. Obfituje ona w nie kończące się, bezużyteczne analogie i czcze skrupuły. Podobnie jak Beatriz, mą duże, piękne i wysmukłe ręce; przez kilka miesięcy był pod wielkim wpływem Paula Forta; mniej zresztą zachwycaly go jego ballady, niż imponowała jego nieskazitelna sława. „Oto książkę francuskich poetów — powtarzał z pewnością siebie. — Nadaremnie się przeciw niemu buntujesz, nie dosięgnie go żadna z twych zatrutych strzał”.

30 kwietnia 1941 roku pozwoliłem sobie do pudełka andrutów z Santa Fe dołączyć butelkę krajowego koniaku. Carlos Argentino skosztował go, uznał za dość interesujący w smaku i po paru kieliszkach przystąpił do obrony nowoczesnego człowieka. — Widzę go — mówił z niezrozumiałym ożywieniem — w jego gabinecie, przypominającym coś jakby wieże strażnicze, uzbrojonym w rozliczne telefony, telegrafy, fonografy, aparaty radiotelefoniczne, kinematograficzne, w latarnie magiczne, w słowniki specjalistyczne, w rozkłady jazdy, w terminarze, w biuletyny...

Zaznaczył, że dla tak wyekwipowanego człowieka sama czynność podróżowania staje się zbyteczna; nasz wiek dwudziesty przetworzył przypowieść o górze i Mahomecie; dziś same góry mkną ku nowoczesnemu Mahometowi.

Myśli te wydały mi się tak niedorzeczne, ujęcie ich tak puste i pompatyczne, że nieuchronnie przywiodły mi na myśl literaturę; zapytałem, dlaczego nie opisze tego wszystkiego. Jak należało przypuszczać, odpowiedział mi, że już to się stało; zarówno te, jak i inne nie mniej nowatorskie myśli figurowały we „Wróżbiarskim śpiewie”, we „Wstępnym śpiewie” lub po prostu w „Śpiewie-Wstępie” do poematu, nad którym pracuje od wielu lat bez reklamy, bez rozgłosu, jak zawsze opierając się na dwóch filarach: pracy i samotności. Najpierw otwiera tamy fantazji, potem dopiero chwyta za pilnik. Poemat nosi nazwę „Ziemia”. Jest to opis planety, z pewnością nie pozbawiony malowniczych dygresji i wytwornych zwrotów. Poprosiłem go, aby mnie zapoznał z jakimś ustępem, niechby najkrótszym. Otworzył jedną z szuflad biurka, wyjął spory plik kartek z nagłówkiem Biblioteki Jana Chryzostoma Lafinur i przeczytał z dźwięczną satysfakcją:

*Niby Grek obejrzałem wszelkie ludzkie miasta,
Pracę, dni o przeróżnych światłach, głód i nędzę:
Nie chcę poprawiać faktów, zmieniać żadnych imion,
Lecz voyage, którą śpiewam, jest... autour de ma chambre.*

Jeden jedyny raz w życiu miałem okazję przeczytania piętnastu tysięcy aleksandrynów „Polyolbionu”, tej topograficznej epopei, w której Michael Drayton zarejestrował faunę, florę, hydrografię, orografię oraz zarówno militarną, jak i monastyczną historię Anglii. Jestem przekonany, że dzieło to, poważne, jakkolwiek ograniczone, jest mniej nudne od rozwlekłego i podobnego doń przedsięwzięcia Carlosa Argentino. Ten powziął bowiem zamiar zwersyfikowania całej planety. Już w 1941 roku załatwił się z pewną ilością hektarów stanu Queensland, z przeszło kilometrem rzeki Ob, z gazociągami na północ od Veracruz, z głównymi domami handlowymi parafii Concepcion, z posiadłością Mariany Cambaceres de Alvear przy ulicy 11 Września na Belgrano i z łaźnią turecką nie opodal znanego akwarium w Brighton. Odczytał mi niektóre pracochłonne ustępy, dotyczące australijskiej zony swego poematu; te przydługie i nieforemne aleksandryny pozbawione były nawet względnego tempa przedmowy.

(...) Pożegnałem go koło północy. W dwa tygodnie później — mam wrażenie, że po raz pierwszy w życiu — zatelefonował do mnie Daneri.

Zaproponował, abyśmy około czwartej spotkali się „na podwieczorku w salonie, który pełni nowatorskich idei panowie Zunino i Zungri (o ile pamiętasz, właściciele domu, w którym mieszkam) otwarli na rogu mojej ulicy. Jest to lokal, który doprawdy warto poznać”.

Zgodziłem się raczej z rezygnacją niż z entuzjazmem. O miejsce nie było łatwo. Nieubłaganie nowoczesny „salon-bar” okazał się zaledwie o włos mniej potworny od tego, co przewidziałem. Przy sąsiednich stolikach podniecona publiczność obliczała sumy, które — jakoby bez szemrania — zostały zainwestowane przez Zunino i Zungriego. Pełen zachwyty nad jakimiś detalami urządzeń elektrycznych (które z pewnością przedtem już widział), Carlos Argentino oznajmił z niejaką surowością:

— Nawet wbrew sobie trudno ci będzie nie przyznać, że lokal ten może się równać z najelegantszymi na Flores. Po czym przeczytał mi cztery czy pięć stron poematu, które sam skorygował wedle fałszywych zasad słownej ostentacji: tam, gdzie poprzednio figurowało niebieski, teraz mnożyły się różne modre, błękitniejące, włącznie do chabrowego. Widocznie nie dość brzydkie słowo mleczne, w rozpędzonym opisie pralni, zastąpione zostało mlekowym,

mlekwatym, mleczniejącym... Z goryczą ubliżał krytykom, po czym wyrozumiałej już porównywał ich do ludzi, „którzy aczkolwiek sami nie mają do dyspozycji drogich metali, walców, parowych pras ani też kwasu siarkowego, ażeby ze skarbów bić monety, mogą jednak wskazywać innym miejsce, gdzie te skarby są ukryte”. W dalszym ciągu surowo osądzał manię pisania prologów, „z której kpił już w swojej uroczej przedmowie do «Don Kichota» Książę Geniuszy”. Tym niemniej przyznał, że nowe dzieło powinno posiadać błyskotliwy wstęp, opatrzone podpisem o prawdziwym ciężarze gatunkowym. Dodał, że nosi się z zamiarem ogłoszenia początkowych śpiewów swego poematu. Wtedy pojąłem szczególne zaproszenie telefoniczne: najwidoczniej szło mu o to, bym napisał przedmowę do jego pedantycznego bełkotu. Obawy moje okazały się nieuzasadnione: pełen nadętego zachwyty, Carlos Argentino oznajmił, że chyba nie będzie błędem nazwanie „solidnym” prestiżu, który zdobył sobie we wszystkich środowiskach pisarz Alvaro Melián Lafinur, przy czym dodał, iż nie wątpi, że gdybym nalegał, ten ostatni z entuzjazmem podjąłby się napisania wstępu do jego poematu. Tak więc, ażeby uniknąć porażki wręcz niewybaczalnej, jaką byłaby jego odmowa, muszę wygłosić pochwałę dwóch zalet nie podlegających najmniejszym wątpliwościom, a mianowicie perfekcji formy oraz naukowej ścisłości, „albowiem cały ten rozległy ogród przenośni, figur, ozdobników i tak dalej nie zawiera najdrobniejszego nawet detalu, który by nie był potwierdzeniem surowych prawd”. Dodał, że Beatriz zawsze lubiła towarzystwo Alvara. Potakiwałem, potakiwałem szczerze. Ażeby dodać moim słowom jeszcze więcej prawdopodobieństwa, oświadczyłem, że nie będę mógł mówić z Alvarem w poniedziałek, a dopiero we czwartek, podczas kolacji odbywającej się po każdym zebraniu Związku Literatów (wprawdzie takie kolacje w ogóle nie miały miejsca, faktem było jednak, że zebrania rzeczywiście odbywały się w czwartki, co Carlos Argentino mógł łatwo sprawdzić w każdej gazecie, nadawało to więc całej sprawie pozory prawdy). Powiedziałem — w połowie drogi między mędrcom a jasnowidzem — że zanim poruszę temat prologu, najpierw opiszę Alvarowi interesujący plan samego dzieła. Pożegnaliśmy się.

Na rogu Bernardo de Irigoyen spojrzałem prosto w twarz prawdzie i perspektywom, które się przede mną wyłaniały: a) zwrócić się do Alvara i powiedzieć mu, że kuzyn Beatriz (to wytłumaczenie pozwoliłoby mi wymówić jej imię) napisał poemat, który wydaje się (rozdymać w nieskończoność wszelkie możliwości kakofonii i chaosu, b) nie zwracać się do Alvara. Z całą jasnością przewidywałem, że niedbalstwo moje raczej skłoni mnie ku punktowi b).

W piątek od samego rana zacząłem obawiać się dzwonka telefonu. Oburzało mnie, że instrument ten, który niegdyś odtwarzał na zawsze już stracony głos Beatriz, teraz mógłby zniżyć się do transponowania zbędnych, a może i gniewnych utyskiwań nabranego przeze mnie Carlosa Argentino Daneri. Na szczęście lęk mój pozostał bez konsekwencji poza nieuniknionym żalem, który poczułem w stosunku do człowieka usiłującego najpierw nakłonić mnie do załatwienia mu delikatnej misji, później zaś całkowicie zapominającego o mnie. Wprawdzie przestałem bać się telefonu, ale w końcu października Carlos Argentino i tak zadzwonił do mnie. Był niesłychanie podniecony. Tak dalece, że z początku wręcz nie poznałem jego głosu. Z rozpaczą i wściekłością wybąkał, że ci i tak nie nasyceni Zunino i Zungri, pod pretekstem rozszerzenia swojej olbrzymiej kawiarni, postanowili zburzyć jego dom. Dom moich przodków, mój dom, mój stary dom przy ulicy Garay! — powtarzał, najprawdopodobniej pośród pięknych deklamacji tego zdania zatracając nawet własne cierpienia. Stosunkowo łatwo zacząłem mu współczuć.

Po czterdziestce każda zmiana jest nieznosnym symbolem upływu czasu: na dodatek chodziło o dom, który sam w sobie był nie kończącym się wspomnieniem Beatriz. Usiłowałem wyjaśnić mu ten delikatny szczegół, ale nie dosłyszał mnie. Oznajmił, że jeśli Zunino i Zungri nie odstąpią od swojego absurdu, jego adwokat, mecenas Zunni, ipso facto wystąpi do nich o odszkodowanie i zmusi ich do wypłacenia mu 100 tysięcy pesos. Nazwisko Zunniego zrobiło na mnie wrażenie; jego kancelaria na rogu Caseros i Tacuari cieszyła się nieskazitelną opinią. Zapytałem, czy ten ostatni podjął się sprawy. Daneri oznajmił, że ma zamiar mówić z nim tegoż popołudnia. Zawahał się i innym głosem, płaskim i nieosobistym, jakiego używamy, gdy idzie o powierzenie czegoś niesłychanie intymnego, powiedział, że dom ten jest mu absolutnie niezbędny do dokończenia poematu, bowiem w rogu piwnicy znajduje się Alef.

Wyjaśnił, że Alef jest jednym z punktów w przestrzeni, który zawiera w sobie wszystkie inne. — Jest akurat pod jadalnią — mówił ze zdenerwowania łykając słowa. — Należy do mnie, do mnie, sam go odkryłem jeszcze w dzieciństwie, jeszcze zanim poszedłem do szkoły. Schody do piwnicy są strome, więc stryjowie nie pozwalali mi schodzić, ale kiedyś ktoś powiedział, że w piwnicy jest cały świat. Jak się później okazało, myślał o starym kufrze, ale ja zrozumiałem, że naprawdę „świat”. Wykradłem się po cichutku, podszedłem do zakazanych schodów, spadłem. Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem Alefa.

— Alefa? — powtórzyłem. — Tak, miejsce, w którym, nie łącząc się ze sobą, każde z osobna, znajdują się wszystkie miejsca świata widziane ze wszystkich możliwych punktów. Nikomu nie powiedziałem o moim odkryciu, ale wróciłem tam. Dziecko nie mogło pojąć, że przywilej ten po to został mu dany, aby pewnego dnia mężczyzna mógł wyryć poemat. Nie dam się wyzuć Zunino i Zungriemu, nie, nie, po tysiącokroć nie! Z kodeksem w ręku Zunni dowiedzie im, że Alef jest mój, mój na zawsze.

Uciekłem się do logiki.

— Ale czy w piwnicy nie jest zupełnie ciemno?

— Prawda nie przenika do opornych umysłów. Skoro wszystkie miejsca są w Alefie, są tam także i wszystkie jasności, wszystkie latarnie i wszystkie źródła świata.

— Jadę go zobaczyć. Natychmiast. Odłożyłem słuchawkę, zanim mógł mi zabronić.

Czasem wystarcza zaznajomienie się z pojedynczym faktem, ażeby w ciągu jednej chwili pojąć ciągłość spraw potwierdzających go, aczkolwiek dotąd niezauważalnych. Wydało mi się wręcz zdumiewające, że do tej pory nie zdałem sobie sprawy z tego, iż Carlos Argentino jest wariatem. Zresztą, wszyscy ci Viterbowie... Beatriz (sam często to powtarzałem) była kobietą, dziewczynką, o niemal nieubłaganej jasności widzenia, ale tkwiły w niej luki, roztargnienia, pogardy, prawie okrucieństwa, które również bez wątpienia należało tłumaczyć jakąś patologią. Szaleństwo Carlosa Argentino nappełniło mnie złośliwym szczęściem; w głębi duszy zawsześmy się nienawidzili. Gdy zjawiłem się na ulicy Garay, służąca poprosiła, bym zaczekał. Pan, jak zawsze, był w piwnicy, wywoływał zdjęcia. Obok wazonu bez kwiatów, na nie używanym fortepianie, uśmiechał się (uśmiechem raczej pozaczasowym niżli przestarzałym), zły w kolorze, wielki portret Beatriz. Nikt nie mógł nas widzieć; w tęsknocie pełnej czułości zbliżyłem się do portretu i powiedziałem:

— Beatriz, Beatriz Elena, Beatriz Elena Viterbo, jedyna moja, na zawsze stracona, to ja, Beatriz, to ja, Borges. W chwilę potem wszedł Carlos, był oschły. Zrozumiałem, że nie był w stanie myśleć o niczym innym poza utratą Alefa.

— Mały kieliszeczek tego pseudokoniaku — zadysponował — i schodzisz do piwnicy. Wiadomo ci już, że niezbędna jest pozycja horyzontalna. Zarówno jak ciemność, bezruch, pewne przystosowanie wzroku. Położysz się na kamiennej podłodze i wbijesz oczy w dziewiętnasty stopień schodów. Ja wrócę na górę, spuszczę klapę, zostawię ci samego. Po paru minutach zobaczysz Alefa. Mikrokosmos alchemików i kabalistów, naszego przysłowiowego przyjaciela, multum in parvo.

Już w jadalni dorzucił:

— Rzecz jasna, że o ile go nie dojrzysz, twoja nieudolność w niczym nie zmieni mojego świadectwa... Zejdź. W chwilę potem będziesz w stanie nawiązać dialog ze wszystkimi wcieleniami Beatriz.

Zszedłem szybko, miałem już bowiem dość jego czezej gadaniny. Piwnica, zaledwie trochę szersza od schodów, podobna była do studni. Rzuciłem okiem, chcąc znaleźć kufer, o którym wspomniał Carlos Argentino, ale niczego nie zauważyłem. Jakieś skrzynki pełne butelek, jakieś płócienne worki zasłaniały to, co było w rogu. Carlos wziął jeden z worków, zwinął go i położył w odpowiednim miejscu.

— Poduszka raczej uboga — powiedział — ale gdybym podwyższył ją chociaż o centymetr, nie zobaczyłbyś nic a nic i byłbyś pełen zgnębienia i wstydu. Złóż no na ziemi szanowny ciężar twego cielska i odlicz dziewiętnaście stopni.

Zastosowałem się do tych niepoważnych instrukcji; wreszcie sobie poszedł, starannie zamknąwszy klapę. Poza maleńką, dopiero po chwili dostrzegalną szparką było zupełnie ciemno. Nagle

zrozumiałem ogrom niebezpieczeństwa, w którym się znalazłem; pozwoliłem obłąkanemu, żeby pogrzebał mnie żywcem, przedtem napoiwszy mnie trucizną. Brawura Carlosa zdradzała przecież jego wewnętrzną panikę, której nie zauważyłem chyba cudem. Ażeby bronić swojego szaleństwa, ażeby nie uznać się za wariata, Carlos musi mnie zabić. Poczułem się nieswojo, co usiłowałem złożyć na karb niewygodnej pozycji, nie zaś działania narkotyku: zamknąłem oczy; otworzyłem je; wtedy zobaczyłem Alefa.

Dochodzę w tej chwili do niewypowiadalnej części mojego opowiadania; tu zaczyna się moja rozpacz, rozpacz pisarza. Wszelki język jest alfabetem symboli, użytkowanie go zakłada przeszłość, którą dzielą rozmówcy. Jakże przekazać innym nieskończoność Alefa, której moja własna trwożliwa wyobraźnia nie jest w stanie objąć? W podobnych sytuacjach mistycy nie szczędzą symboli: ażeby wyrazić boskość, Pers mówi o ptaku, który w jakiś sposób jest wszystkimi ptakami; Alanus ab Insulis o kuli, której centrum jest wszędzie, obwód zaś nigdzie; Ezechiel — o aniele posiadającym cztery twarze, zwrócone jednocześnie na północ, południe, wschód i zachód.

(Nienadaremnie przypominam te niepojęte analogie, wszystkie one są bowiem w pewnym związku z Alefem). Nawet jeżeli bogowie nie odmówią mi wynalezienia jakiegoś równoznacznego obrazu, i tak informacje moje okażą się skażone literaturą, fałszem. Na dodatek sam problem wyliczania, choćby nawet częściowego, nieograniczonej całości pozostaje nierozwiązany. W tym bezmiernej wielkości momencie ujrzałem miliony zdarzeń precudownych i straszliwych; nic jednak nie zdumiało mnie tak, jak to, że wszystkie one zajmowały to samo miejsce ani nie nakładając się na siebie, ani nie będąc przezroczyste. Wszystko, co ujrzały moje oczy, było równoczesne — to, co opiszę, będzie sukcesywne, bo taka jest natura języka. Mimo to coś niecoś udało mi się uchwycić. W dolnej części schodów po prawej stronie ujrzałem mieniącą się kulę, o blasku nie do zniesienia. Z początku wydała mi się wirująca, potem zrozumiałem, że było to złudzenie, wynikające z zawrotności obrazów, które się w niej zawierały. Średnica Alefa wynosiła nie więcej niż dwa, trzy centymetry, ale przestrzeń kosmiczna, którą ogarniał, była naturalnej wielkości. Każda rzecz (powiedzmy; tafla zwierciadła) była nieskończonością rzeczy, bowiem było ją widać zupełnie jasno ze wszystkich punktów wszechświata. Widziałem zatłoczone morze; widziałem świt i zmierzch, widziałem tłumy zaludniające Amerykę, widziałem srebrzystą pajęczynę w środku czarnej piramidy, widziałem popękany labirynt (to był Londyn), widziałem, nieprzeliczone, tuż koło mnie znajdujące się oczy, przeglądające się we mnie jak w lustrze, widziałem wszystkie zwierciadła planety, z których żadne jednak nie odbijało mojej postaci, widziałem w zaułku ulicy Soler te same płyty, którymi trzydzieści lat temu wyłożone było patio jakiegoś domu we Frey Bentos, widziałem grona, śnieg, tytoń, złoża metali, parę wodną, widziałem wypukłe równikowe pustynie i pojedyncze ziarenka ich piasku, widziałem w Inverness kobietę, której nigdy nie zapomnę, widziałem oszalałą fryzurę, widziałem wyniosłe ciało, widziałem raka piersi, widziałem kupkę pokruszonej ziemi na trotuarze, gdzie uprzednio rośło drzewo, widziałem willę w Adroque, egzemplarz pierwszego angielskiego przekładu Pliniusza, dokonanego przez Philemona Holland, równocześnie widziałem każdą literę każdej strony (będąc dzieckiem zawsze zdumiewałem się, że litery zamkniętego tomu nie mieszają się i nie gubią w czasie nocy), widziałem noc równoczesną z dniem, widziałem zachód w Queretaro, który wyglądał jak odbicie kolorów bengalskiej róży, widziałem moją samotną sypialnię, widziałem w gabinecie w Alkmaar kulę ziemską pomiędzy dwoma lustrami, które pomnażały ją w nieskończoność, widziałem konie o rozwianych grzywach na jakiejś plaży Morza Kaspijskiego o świcie, widziałem delikatny szkielet ręki, widziałem, jak piszą pocztówki niedobitki tych, co przegrali bitwę, widziałem na wystawie w Mirzapur talię hiszpańskich kart, widziałem ukośne cienie jakichś paproci na podłodze oranżerii, widziałem tygrysy, widziałem poruszające się tłoki maszyn, widziałem żubry, tłumy i armię, wszystkie mrówki, jakie są na ziemi, perskie astrolabium, widziałem w szufladzie biurka — przy czym pismo to przyprawiło mnie o drżenie — listy sprośne, niewiarygodne, niedwuznaczne, które Beatriz pisała do Carlosa Argentino, widziałem ukochany pomnik na Chacaricie, potworne resztki tego, co kiedyś precudownie tworzyło Beatriz Viterbo, widziałem krążenie mojej ciemnej krwi, widziałem tryby miłości i transfigurację śmierci, widziałem Alefa ze wszystkich punktów, w Alefie widziałem ziemię i w ziemi z powrotem Alefa, i w Alefie ziemię, widziałem moją twarz i moje wnętrzości, widziałem twoją twarz i poczułem

zawrót głowy, i płakałem, ponieważ oczy moje ujrzały ten przedmiot tajemny i pełen wszelkich możliwości, którego imię przywłaszczyli sobie ludzie, którego jednak nie widział żaden człowiek: niepojęty wszechświat. Odczułem bezmierne uwielbienie, bezmierną litość.

— Chybaś oniemiał od oglądania tego wszystkiego, co nie było dla ciebie przeznaczone — odezwał się zniechęcony, jowialny głos. — Nie łam sobie głowy; i w ciągu stu lat nie zapłacisz mi za to objawienie. Co za niebywałe obserwatorium, może nie, Borges?

Nogi Carlosa Argentino zajmowały następny stopień. W nagłym mroku udało mi się jakoś wstać i wybełkotać:

— Niebywałe. Tak, niebywałe.

Obojętność własnego głosu zdumiała mnie. Zaniepokojony, Carlos Argentino powtórzył:

— Ale wszystko widziałeś, prawda? W kolorach...

W tym momencie zrodziła się moja zemsta. Dobrotliwy, lekko pobłażliwy, nerwowy, umykający, podziękowałem Carlosowi Argentino za gościnność jego piwnicy, podkreślając, że powinien wykorzystać zburzenie domu, aby osiedlić się na prowincji, daleko od groźnej metropolii, która nikogo — możesz mi wierzyć, nikogo! — nie oszczędza. Z łagodnym uporem odmówiłem rozmowy na temat Alefa. Na pożegnanie objąłem go i powtórzyłem, że spokój i wieś są najlepszymi lekarzami.

Na ulicy, na schodach placu Konstytucji, w metrze wszystkie twarze wydały mi się znajome. Złakłem się, że nie znajdzie się już nic zdolnego zaskoczyć mnie, złakłem się, że już nigdy nie pozbędę się uczucia powtarzalności. Na szczęście po kilku bezsennych nocach raz jeszcze dosięgło mnie zapomnienie.

Postscriptum z dnia 1 marca 1943 roku. W pół roku po zburzeniu domu przy ulicy Garay wydawnictwo Procusto, nie zniechęcone długością poematu, rzuciło na rynek „Argentyńskie utwory wybrane”.

Chyba zbędne jest powtarzanie tego, co nastąpiło: Carlos Argentino Daneri otrzymał Drugą Państwową Nagrodę Literacką. Pierwsza przyznana została doktorowi Alta, trzecia doktorowi Markowi Bonfanti... Rzecz nie do wiary, lecz moje dzieło pt. „Karty szulera” nie otrzymało ani jednego głosu. Po raz nie wiem który niezrozumienie i zawiść zwyciężyły! Od dość dawna nie widuję Daneriego. Szczęściarz poświęcił swe pióro (już nie zaćmione przez Alefa) wersyfikacji skrótów doktora Acevedo Diaz.

Chcę dorzucić dwa spostrzeżenia: jedno na temat samej natury Alefa, drugie — na temat jego imienia. Jak wiadomo, jest to nazwa pierwszej litery alfabetu świętego języka. Zastosowanie go w mojej historii nie jest przypadkowe. W Kabale litera ta oznacza En Soph — nieograniczoną, czystą boskość; mówi się także, że ma ona postać człowieka, wskazującego niebo i ziemię, aby zaświadczyć, że niższy świat jest zwierciadłem i mapą wyższego. Dla „Mengenlehre” jest symbolem liczb kardynalnych, w których całość jest tej samej mocy co poszczególne części.

Chciałbym wiedzieć: czy Carlos Argentino sam wybrał to imię, czy też przeczytał je zastosowane do jakiegoś innego punktu, w którym zbiegają się wszystkie punkty, w jednym z niezliczonych tekstów, które objawił mu umieszczony w jego domu Alef?

Choćby to miało brzmieć najzupełniej nieprawdopodobnie, myślę, że jest (a może był) inny Alef, myślę, że Alef z ulicy Garay był fałszywym Alefem. Podaję moje rozumowanie. Około 1867 roku kapitan Burton był konsulem angielskim w Brazylii. W lipcu 1942 roku Pedro Henriquez Ureña odkrył w jakiejś bibliotece w Santos jego manuskrypt opowiadający o lustrze, które Wschód przypisuje Iskandarowi Zu'l-Karnajn, czyli Dwurożnemu Aleksandrowi Macedońskiemu. W jego kryształ odbijał się cały wszechświat. Burton wspomina inne sztuczki w tym rodzaju: siedmiokrotną czarę Kai Josrū, zwierciadło, które Tarik ibn Zàid znalazł w wieży („Tysiąc i jedna noc”, 272), lustro, które Lucjanowi z Samosaty dane było oglądać na księżycu („Historia prawdziwa”, I, 26), lancę z miki, którą pierwsza księga „Satyricon” Capelli przypisuje Jowiszowi, uniwersalne lustro Merlina, okrągłe i wklęsłe, podobne do świata ze szkła („The Faerie Queen”, III, 2, 19), i dodaje kilka tych ciekawych słów: „Co prawda, uprzednio wymienione (poza ich wadą, że nie istniały), są po prostu instrumentami optycznymi. Wierni, modlący się w meczecie Amr w

Kairze, wiedzą znakomicie, że wszechświat mieści się w jednej z kamiennych kolumn, które otaczają podwórzec centralny. Jest rzeczą jasną, że nikt go nie może zobaczyć, ale ci, którzy przykładają ucho do kolumny, twierdzą, że po niedługiej chwili słyszą jego pracowity szmer... Meczet pochodzi z VII wieku; kolumny z innych świątyń przedislamicznych, ale, jak napisał Ibn Chaldun: „W republikach stworzonych przez nomadów udział cudzoziemców jest nieodzowny we wszystkich sprawach związanych z murarstwem”.

Czy istnieje Alef w głębi jakiegoś kamienia? Czy widziałem go wtedy, gdy widziałem wszystko, a tylko o nim zapomniałem?

Umysł nasz jest porowaty i zapomina; mnie samemu, na skutek tragicznej erozji lat, zamulają się i ulatują z pamięci rysy Beatriz.

Dla Esteli Canto.

Przełożyła Zofia Chączyńska